

# Brzoskwinie

Trawiastozielony wóz z kulfoniastym napisem „J. Jones, Gorseshill”<sup>1</sup> przystanął w wyłożonym kocimi łbami pasażu pomiędzy Zajęczą Łapką i Czystą Kroplą. Był późny kwietniowy wieczór. Wujek Jim, w czarnym jak czarny rynek garniturze, w którym zwykle jeździł na targ, w białej wykrochmalonej koszuli bez kołnierzyka, w skrzypiących nowych butach z cholewami i kraciastej czapce, zsunął się z chrzęstem na ziemię. Spod sterty słomy leżącej w kącie na wozie wyciągnął gruby wiklinowy kosz i zarzucił go na ramię. Kiedy otwierał drzwi Pubu Czysta Kropla, usłyszałem dobiegające z koszyka kwiknięcie i zobaczyłem koniuszek zakręconego różowego ogonka.

– Wracam najdalej za dwie minutki – zwrócił się do mnie wujek.

W środku było pełno ludzi. Na ławie przy drzwiach siedziały w jasnokolorowych sukienkach dwie tęgie kobiety, jedna trzymała na kolanach drobne, śniade, ciemnowłose dziecko; spostrzegłszy wuja Jima, przesunęły się na bok.

– Zaraz jestem – powiedział wściekle wuj Jim, jak gdybym mu się sprzeciwił. – A ty siedź tu spokojnie.

Kobieta bez dziecka podniosła ręce.

– Och, pan Jones – odezwała się piskliwym głosem, w którym pobrzmiwał śmiech. Trzęsła się jak galareta.

Potem drzwi się zamknęły i głosy zostały stłumione.

Siedziałem samotnie na dyszlu w wąskiej uliczce, zaglądając do Zajęczej Łapki przez boczne okno. Było do połowy

---

<sup>1</sup> W latach dwudziestych XX wieku Thomas jeździł często do swojej ciotki Annie i jej męża, Jima Jonesa, do posiadłości/gospodarstwa Fernhill (w *Portrecie...* pisarz zmienił tę nazwę na Gorseshill), położonej koło miasteczka Llangain w hrabstwie Carmarthen, w południowo-zachodniej Walii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

zasłonięte poplamioną roletą. Widziałem fragment zadymionej sekretnej salki, w której czterej mężczyźni grali w karty. Jeden z nich, potężny i ogorzały, miał sumiaste, podkreścone wąsy, przypominające kierownicę rowerową, a na czoło opadał mu kędzierzawy wabik; obok siedział chudy, łysy i bladej starzec o zapadniętych policzkach; twarze dwóch pozostałych graczy skrywał cień. Wszyscy co chwila pociągali w milczeniu z wielkich brązowych kufli, plaskali kartami o stół, zapalali z trzaskiem zapalki, pykali z fajek, smutno przełykali ślinę, potrząsali mosiężnym dzwonkiem i składali kolejne zamówienia, dając znaki palcami jakiejś ponurej kobiecie w kwiecistej bluzce i męskiej czapce na głowie.

Uliczka bardzo nagle pociemniała, domy przywarły do siebie, a ich dachy przypadły do ziemi. W moich załęknionych oczach, oglądających ciemny zaułek w obcym mieście, ogorzały mężczyzna wyglądał niczym olbrzym w spowitej chmurami klatce, a łysy starzec skurczył się do rozmiarów czarnego garbu o białym czubku; z kąta z szybkością błyskawicy wysuwały się dwie białe dłonie trzymające niewidoczne karty. Może właśnie w tej chwili od strony Union Street zbliża się do mnie wielkimi susami człowiek noszący buty ze sprężynami w obcasach i uzbrojony w obosieczny nóż<sup>2</sup>.

– Wujku Jimie! Wujku Jimie! – zawołałem cichutko, żeby mnie nie usłyszał.

Zacząłem pogwizdywać przez zęby, lecz nawet gdy przestałem, wydawało mi się, że za moimi plecami wciąż coś świsz-cze. Zsunąłem się z dyszla i podszedłem do zasłoniętego do połowy okna; czyjaś szponiasta ręka sunęła po szybie ku zakończonemu chwastem sznurowi rolety; chociaż odległość pomiędzy mną na bruku i karciarzami przy stoliku była bardzo niewielka, nie wiedziałem, po której stronie szyby znajduje się powoli opuszczająca roletę dłoń. Poplamiona kwadratowa

---

2 Aluzja do Jacka w sprężynowych butach (Spring-Heeled Jack), na poły mitycznej postaci demonicznego mordercy, która po raz pierwszy pojawiła się w miejskim folklorze brytyjskim w roku 1837.

plachta odcięła mnie od świata. Wtedy z wiatrem i brukowym stukotem powróciło do mnie opowiadanie, które ułożyłem sobie niegdyś na ciepłej, bezpiecznej wysepce łóżka o północy, kiedy za domem płynęły i marszczyły się wody sennej zatoki Swansea. Przypomniałem sobie demona z tej opowieści, miał skrzydła i haki i czepiał się moich włosów jak nietoperz, a ja jak Walia długa i szeroka walczyłem w poszukiwaniu wysokiej, mądrej, złocistowłosej dziewczyny z klasztoru w Swansea, w której żyłach płynęła królewska krew. Próbowałem przywołać jej prawdziwe imię, kształtne długie nogi w czarnych pończochach, chichot i papiloty, ale szarpały mnie zwieńczone hakami skrzydła, więc kolor jej włosów i oczu stopniowo bladł i zniknął jak trawiasta zieleń wozu, który stał się teraz ciemnoszarą górami pomiędzy ścianami pasażu.

Przez cały ten czas leciwa, szerokopierśna, cierpliwa, beziemienna klacz stała nieporuszona, ani razu nie stuknęła kopytem o bruk i nie potrząsnęła lejcami. Nazwałem ją grzeczną dziewczynką i wspiąłem się na palce, żeby pogłaskać jej uszy, gdy drzwi Czystej Kropli otwały się gwałtownie, a wtedy ciepłe światło z baru oślepiło mnie i spopieliło moje opowiadanie. Przestałem się bać, byłem już tylko rozzłoszczony i głodny. Pośród głębokiego gwaru i swojskich zapachów rozległ się chichot tych dwóch siedzących przy drzwiach otyłych kobiet: „Dobranoc, panie Jones”. Zwinięty w kłębek dzieciak spał pod ławą. Wuj Jim pocałował obie kobiety w usta.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Potem w pasażu znowu zrobiło się ciemno.

Zataczając się na klacz, poklepując ją po chrapach i przeklinając jej cierpliwość, wujek wyprowadził grzeczną dziewczynkę z powrotem na Union Street, po czym obaj wdrapaliśmy się na wóz.

– Za dużo pijanych Cyganek – zauważył, kiedy toczyliśmy się już z hurkotem przez pomrujące światłami latarni miasto.

Przez całą drogę do Gorsehill śpiewał cikliwym basem pieśni kościelne, dyrygując wiatrem przy pomocy bata. Nie musiał dotykać lejców. Tylko raz przystanęliśmy na wyboistej drodze pośród żywopłotów – wykręcających się, by gałązkami pochwycić klacz za uzdę i bósć nasze czapki – gdy wujek szepnął „prrr!”, bo chciał zapalić fajkę, i rozplomienił ciemności, ukazując mi swoją pociągłą, zaczerwienioną, lisią pijacką mordę o nastroszonych bokobrodach i zasmarkanym, obolałym nosie. Na łące na zboczu niskiego wzgórza dość daleko od drogi stał biały domek, a w jednym oknie jego sypialni paliło się światło.

– Spokojnie, maleńka, spokojnie – szepnął wuj do klaczy, chociaż stała, nie okazując strachu, po czym nieoczekiwanie głośno zwrócił się do mnie przez ramię: – Mieszkał tam kiedyś kat.

Nadepnął ostro na dyszel i poturkotaliśmy dalej pod porywisty wiatr. Wujek zadygotał i naciągnął czapkę na uszy, kobyła jednak truchtała niezgrabnie jak posąg i nie przyspieszyłaby kroku ani nie potrząsnęła łbem, nawet gdyby u jej boku truchtały wszystkie demony z moich opowiadań, zaglądając jej w oczy i wyszczerzając kły.

– Szkoda, że nie powiesił starej Jezusowej<sup>3</sup> – dodał wujek.

W przerwach pomiędzy kolejnymi pieśniami przeklinał klacz po walijsku. Biały domek został z tyłu, światła i wzgórze pochłonęła ciemność.

– A teraz nikt tam nie mieszka – dodał.

Wjechaliśmy na podwórze gospodarstwa Gorsehill, gdzie dźwięczał bruk, a czarne, opustoszałe stajnie podejmowały ten odgłos, nadając mu głuche brzmienie, zatrzymaliśmy się więc w kręgu głuchej ciemności, kobyła milczała głucho; w zamkniętym na głucho domu na skraju podwórka nie mieszkał chyba nikt, tylko dwa patyki zwieńczone wyrzeźbionymi w rzepach główkami.

---

3 Najprawdopodobniej drwiące przezwisko żony wuja Jima, Annie.

– Leć do Annie – powiedział wujek. – Dostaniesz gorący rosół i kartofle.

Poprowadził milczący głucho, kosmaty posąg do stajni – klap, klap, do myszogrodu. Biegąc ku drzwiom wejściowym, usłyszałem szezęk kłódek.

Od frontu dom przypominał połówkę czarnej muszli, a łukowate drzwi – wciśnięte w nią ucho. Nacisnąłem klamkę i wszedłem z wiatrem do przedpokoju. Poczułem się tak, jak gdybym wkraczał w głuchą wietrzną noc, przeciskając się przez długi kanał wysokiej pionowej muszli na brzegu jakiegoś wewnętrzznego morza. Potem na końcu korytarza otworzyły się drzwi; ujrzałem talerze na półkach, palącą się lampę na długim, nakrytym ceratą stole, zawieszoną nad kominkiem szydełkową makatkę z napisem „Przygotuj się, by stawić się przed Bogiem”<sup>4</sup>, uśmiechnięte porcelanowe pieski, upstrzoną brązowymi plamami ławę, stojący zegar z wahadłem i wbiegłem do kuchni w objęcia cioci Annie.

Więc jednak ktoś mnie wita. Zegar zaczął bić północ, kiedy Annie mnie pocałowała, a ja stałem w rozdzwonionym blasku niczym zrzucający przebranie księżę z bajki. Przed chwilą byłem tylko zziębniętym, śmiertelnie przerażonym malcem w sztywnym odświętnym ubranku, który skradał się czarnym korytarzem, dudniło mi głucho w brzuchu, moje serce przypominało bombę z opóźnionym zapłonem, w rękach ścisnąłem szkolną czapkę i byłem jedynie zagubionym pośród własnych przygód, tęskniącym za swoim domem i obcym sobie bajazem o perkatym nosie; teraz zaś stałem się królewskim siostrzeńcem w wytwornych miejskich szatach, którego obejmowano i witano, znalazłem się w zacisznym centrum własnych opowieści i nasłuchiwałem anonsującego moje przybycie zegara. Annie szybko posadziła mnie przy przepastnym kominku i zdjęła mi buty. To dla mnie płonęły jasne lampy i dźwięczały uroczyste uderzenia.

---

4 Księga Amosa, 4,12 (przekład wg Biblii Tysiąclecia).

Przygotowała kąpiel gorczycową i mocną herbatę, a potem kazała mi włożyć skarpetki mojego ciotecznego brata, Gwilyma<sup>5</sup>, oraz starą marynarkę wujka, pachnącą królikami i tytoniem. Krzątała się, cmokała, kiwała głową, kroiliła chleb, smarowała go masłem i opowiadała, jak to Gwilym wciąż uczy się na pastora, a ciotka Rach Morgan, która miała dziewięćdziesiąt lat, przewróciła się i nadziała brzuchem na kosę.

Potem do kuchni jak szatan wpadł wujek Jim, miał czerwoną twarz, zasmarkany nos i roztrzęsione owłosione ręce. Chwiał się na nogach. Zarzuciło go na kredens, aż zabrzęczały pamiątkowe talerze koronacyjne, a z kąta ławy wypłynął spłoszony wychudzony kocur. Wujek wydawał mi się dwa razy wyższy od Annie. Mógłby ją nosić pod płaszczem i niespodziewanie wyciągać spod niego jak zabawkę – drobną, smagłą, bezzębną, przygarbioną kobiecinę o załamującym się śpiewnym głose.

– Nie trzeba go było trzymać tak długo na dworze – powiedziała bojaźliwym, ale gniewnym głosem.

Wujek usiadł w swoim specjalnym fotelu, czyli na kulawym tronie zubożałego walijskiego barda, zapalił fajkę, wyciągnął nogi i zaczął puszczać obłoczki dymu pod sufit.

– Mógł się zaziębić na śmierć – dodała ciocia.

Mówiła do odwróconej głowy wujka, który spowijał się kłębami dymu. Kot powrócił chyłkiem na swoje miejsce. Nadal siedziałem przy stole, chociaż już zjadłem kolację, a w kieszeniach marynarki znalazłem małą opróżnioną flaszkę i jakiś biały balonik.

– A teraz zmykaj do łóżka, moje ty kochanie – szepnęła Annie.

– Mogę pójść zobaczyć świnki?

– Rano, kochanie.

W tej sytuacji powiedziałem „dobranoc” wujkowi Jimowi, który odwrócił się, uśmiechnął i mrugnął do mnie zza swojej

---

5 Pod imieniem Gwilyma kryje się starszy od Thomasa o siedemnaście lat Idris Jones, syn Annie i Jima.

zasłony dymnej, a ja pocałowałem Annie i zapaliłem przydzieloną mi świeczkę.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Zacząłem wchodzić na schody; każdy stopień przemawiał własnym głosem. Pachniało zbutwiałym drewnem, wilgocią i zwierzętami. Przyszło mi do głowy, że przez całe życie wędrowałem długimi, wilgotnymi korytarzami i samotnie wspinałem się na schody w ciemności. Na pełnym przeciągów podęście zatrzymałem się przed drzwiami pokoju Gwilyma.

– Dobranoc.

W moim pokoju, gdzie ledwie kopciła lampa i powiewały franki, płomień świecy nagle się ożywił, wydało mi się, że kiedy zamknęły się drzwi, woda w szklance na okrągłym stole zafalowała, obmywając jej brzegi. Pod oknem płynął strumień; dopóki nie usnąłem, myślałem, że woda przez całą noc podmywa ściany domu.

– Mogę pójść zobaczyć świnki? – spytałem rano Gwilyma.

Głucha groza, którą tchnął dom wujostwa, rozviała się; zbiegając na śniadanie, wdychałem słodki zapach drewna, świeżej wiosennej trawy i cichego zapuszczonego podwórza, gdzie stały wałcząca się brudnobiała obora i otwarta na oścież pusta stajnia.

Mój brat cioteczny był wysokim, już niemal dwudziestoletnim, chudym jak trzonek młodzieńcem o twarzy przypominającej kształtem szpadel. Można byłoby nim skopać ogródek. Miał niski głos, który się załamywał w chwilach ekscytacji, a Gwilym ciągle coś podśpiewywał pod nosem, dyszkantem albo basem, zawsze na tę samą, smutną, kościelną nutę, i pisywał w stodole pieśni religijne. Opowiadał mi o dziewczynach, które umarły z miłości. „Zarzucała już postronek na gałąź, ale był za krótki” – mówił, albo: „Chciała sobie wbić scyzoryk w pierś, okazał się jednak za tępy”. Tamtego dnia siedzieliśmy na stertach siana w półmroku zamkniętej stajni. Gwilym

przekręcił się na bok, przysunął blisko mnie i podniósł duży palec, a siano zaszeleściło.

– Wskoczyła do zimnej rzeki, a jakże – powiedział, łaskocząc mnie w ucho ustami. – Wskoczyła dupą do góry i... Bożęciu, już było po niej. – Kwilił jak nietoperz.

Chlew znajdował się po drugiej stronie podwórza. Poszliśmy w tamtą stronę, Gwilym ubrany na czarno niczym pastor, chociaż był poranek powszedniego dnia, ja w serżowym ubranku z cerą na pupie, minęliśmy trzy kury grzebiące na zabłoconym bruku i jednookiego owczarka collie, który spał z tym jednym otwartym okiem. Zabudowania gospodarcze znajdowały się w opłakanym stanie, łuszczył się z nich tynk, miały zapadające się, przegniłe dachy, szczerbate dziury w ścianach i połamane okiennice, a z wypaczonych, obluźwionych desek sterczały powyrywane, zardzewiałe śruby; chudy kocur, którego widziałem w nocy, mył sobie pyszczek, rozsiadłszy się przytulnie pomiędzy zębiskami potłuczonych butelek na szczycie piramidy śmieci wydzielającej przenikliwy słodkawy fetor i wznoszącej się aż po dziurawy dach wozowni. W całym naszym zaniedbanym hrabstwie nie było drugiego takiego gospodarskiego podwórka, równie nędznego, wspaniałego i brudnego jak ten plac pełen błota, odpadków, zbutwiałego drewna i spadających kamieni, na którym garstka starych zmożliwych kur grzebała w ziemi i zносиła mizerne jajeczka. Z koryta w jednym opustoszałym chlewiku dobiegło kwakanie kaczki. Po chwili młody mężczyzna i kędzierzawy chłopczyk zaglądali już ponad przegrodą do sąsiedniego chlewa, pociągając nosami i wpatrując się w leżącą z sutkami w błocie maciorę, która karmiła właśnie swoje prosięta.

– Ile jest świnek?

– Pięć. Ta dziwka jedną zeżarła – odpowiedział Gwilym.

Policzyliśmy prosiaczki, które nie dawały matce spokoju, wiły się, wierciły, tarzały na grzbietach i brzuszku, przesuwwały się, cisnęły, przepychały i kwiczały. Były tylko cztery. Policzyliśmy je jeszcze raz. Cztery – cztery bezwłose różowe

ogonki, skręcające się, kiedy świnki zaczynały żarłocznie ssać, a locha pochrząkiwała z bólu i radości.

– Widocznie zjadła jeszcze jedną – powiedziałem. Podniosłem patyk-drapaczkę, dźgnąłem nim pochrząkującą maciorę i zacząłem skrobać jej zlepioną zaschniętym błotem szczecinę pod włos. – Albo może lis przeskoczył przegrodę.

– To nie była ona ani żaden lis, tylko ojciec – odparł Gwilym.

Wyobraziłem sobie wysokiego, przebiegłego i czerwonego na twarzy wujka, który ściska we włochatych łapskach wyrrywającą się świnkę, zatapia zęby w jej udku i pożera ją razem z chrupiącymi kopytkami; widziałem, jak wujek wychyla się nad przegrodą, a z ust wystają mu prosiące nóżki.

– Czy wujek Jim zjadł świnkę?

Na pewno stoi teraz gdzieś za spróchniałymi szopami, dokładnie w tej chwili, po kolana w pierzu, i żywcem odgryza głowy piórowatym.

– Sprzedał prosiaka, żeby mieć za co pić – odpowiedział Gwilym swoim najniższym, pełnym wyrzutu szeptem i z wbitymi w niebo oczami. – W zeszłym roku w Boże Narodzenie wyniósł na plecach jagnię i chlał przez dziesięć dni.

Locha przeturlała się bliżej drapaczki, a ssące mleko małe zakwiczały w niespodziewanej ciemności, szamocząc się pod fałdami skóry i zwałami matczynego tłuszczu.

– Chodź, pokażę ci mój zbór – zaproponował Gwilym.

Natychmiast zapomniał o zaginionym prosięciu i zaczął mi opowiadać o miastach, które odwiedził na wycieczce religijnej, takich jak Neath, Bridgend, Bristol i Newport, gdzie były jeziora, wspaniałe ogrody i jasno oświetlone kolorowe ulice dosłownie tryskające różnymi pokusami. Wyszliśmy z chlewa, opuszczając niepokieszoną lochę.

– Co chwila natykałem się na jakąś aktorkę – oświadczył.

Zbór Gwilyma mieścił się w ostatniej stodole na skraju opadającej ku rzece łąki. Wznosił się dość wysoko nad podwórkiem, na błotnistym wzgórzu. Drzwi były nieuszkodzone i zamknięte na ciężką kłódkę, ale do środka dało się wejść bez najmniejszego